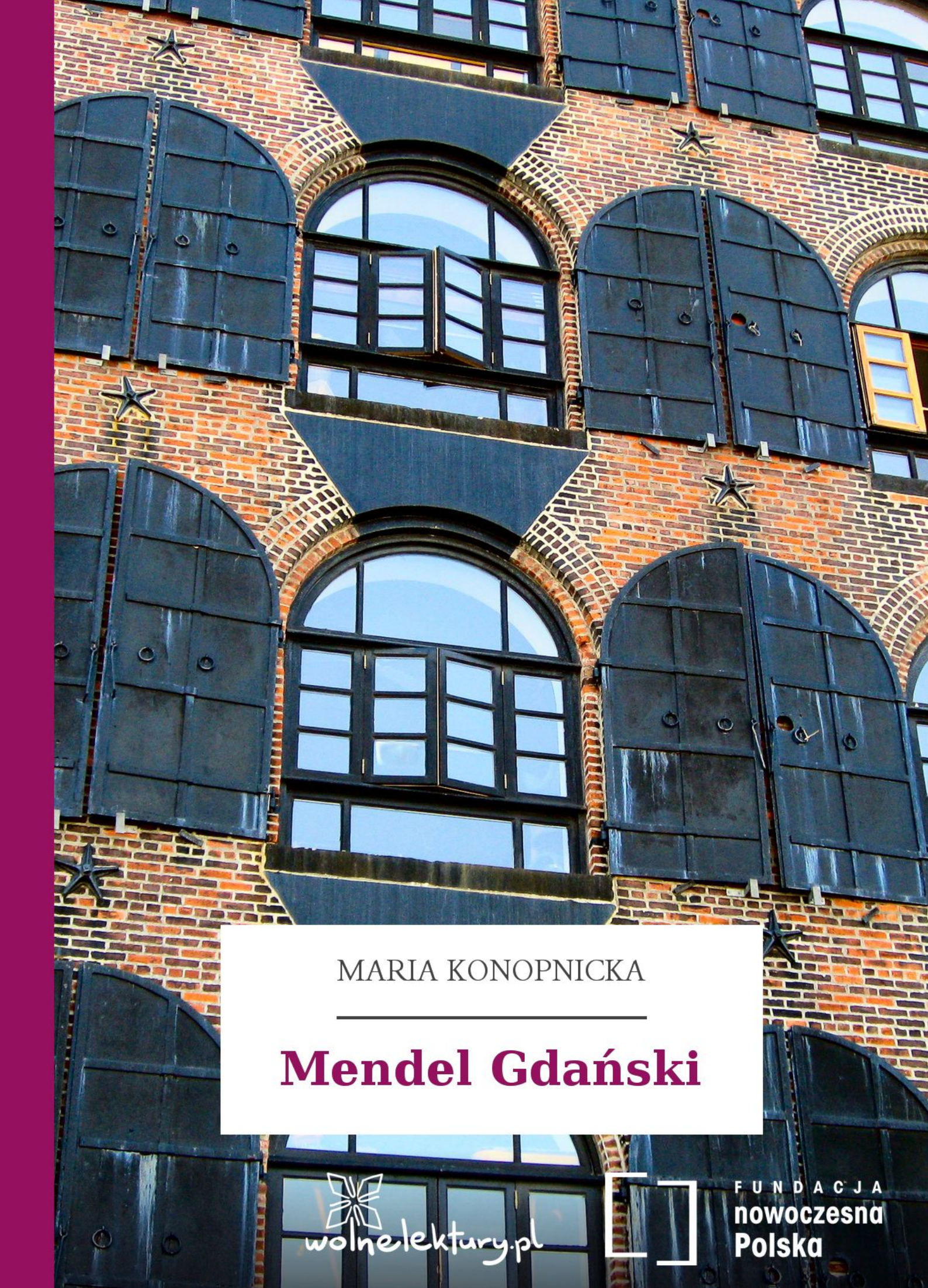




MARIA KONOPNICKA

Mendel Gdański


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

MARIA KONOPNICKA

Mendel Gdański

Od wczoraj jakiś niepokój panuje w uliczce. Stary Mendel dziwi się i częściej niż zwykle nakłada krótką fajkę, patrząc w okno. Tych ludzi nie widział on tu jeszcze. Gdzie idą? Po co przystają z robotnikami, śpieszącymi do kopania fundamentów pod nowy dom niciarza Greulichy? Skąd się tu wzięły te obszarpane wyrostki? Dlaczego patrzą tak po sieniach? Skąd mają pieniądze, że idą w pięciu do szynku?

Stary Mendel kręci głową, smokcząc mały, silnie wygięty wiśniowy cybuszek. On zna tak dobrze tę uliczkę cichą. Jej fizjonomję¹, jej ruch, jej głosy, jej tętno.

Wie, kiedy, zza którego węgła wyjrzy w dzień pogodny słońce; ile dzieci przebiegnie rankiem, drepząc do ochronki, do szkoły; ile zwiędłych dziewcząt w ciemnych chustkach, z małymi blaszeczkami w ręku, przejdzie, po trzy, po cztery, do fabryki cygar na robotę; ile kobiet przystanie z koszami na starym, wytartym chodniku, pokazując sobie zakupione jarzyny, skarżąc się na drogość jaj, mięsa i masła; ilu wyrobników przeclapie środkiem bruku, ciężkim chodem nóg obutych w trepy, niosąc pod pachą węzełki, a w ręku cebrzyki, kielnie, liny, siekiery, piły. Ba, on i to nawet wie może, ile wróbli gnieździ się w gzymsach starego browaru, który panuje nad uliczką wysokim, poczerńniętym kominem — w gałęziach chorowitej, rosnącej przy nim topoli, która nie ma ani siły do życia, ani ochoty do śmierci, i stoi tak czarniawa, przez pół uschnięta, z pnieniem spustoszoną, z którego na wiosnę wynika nieco bladej zieloności. On, może nawet nie patrząc w okno, samym uchem tylko rozpoznałby, czy Paweł, stróż, zamiata ulicę nową swoją, czy też starą miotłą.

I jak tego wszystkiego nie ma Mendel Gdański wiedzieć, kiedy już od lat dwudziestu i siedmiu w tej samej izbie, pod tym samym oknem swój warsztat introligatorski ma i tak już przeszło ćwierć wieku przy nim w fartuchu swoim skórzanym stoi, a podczas kiedy sucha, żylasta, a dziś już nieco drżąca ręka dociska drewnianą śrubę prasy, oczy jego spod brwi gęstych, nawisłych, siwych, patrzą w tę uliczkę, która jest wśród wielkiego miasta jakby odrębnym, zamkniętym w sobie światem.

Świata tego drobne tajemnice zna Mendel na wylot. Wie, kiedy się powiększa a kiedy zmniejsza kaszel starego archiwisty², który mu przynosi do oprawy grube, pełne kurzu foliały zatechłych papierów, wie, jak pachnie pomada małego dependenta³, któremu zszywa akta pana mecenasa; wie, kiedy przyjdzie Joasia od pani radczyni z żądaniem, aby jej za „śkło pięknie wsadził” laurkę⁴ z powinszowaniem, na której zlocisty anioł odkrywa się i pokazuje kawalera z bukietem róż w ręku; wie, kiedy nie je obiadu student, mieszkający na strychu, wie, z której strony nadbiegnie zdyszana pensjonarka, żądając, aby jej „niebiesko i ze złotymi sznurkami” opisał przepisane na listowym papierze poezje Czesława i Gawalewicz.

On wszystko wie. Wszystko, co można wiedzieć na lewo i na prawo siwym, byстрыm okiem, co można na prawo i na lewo usłyszeć uchem i co przemyśleć można długimi godzinami, stukając jak dziecioł młotkiem introligatorskim, równając i obcinając wielkie arkusze papieru, warząc klej, mieszając farby.

¹fizjonomja (z gr.) — oblicze.

²archiwista — urzędnik archiwum, tj. zbioru dokumentów.

³dependent — prawnik, pracujący u adwokata.

⁴laurka — papier ozdobiony obrazkiem.

I jego też znają tu wszyscy. Obcy człowiek rzadko zajrzy; każdy jakby swój, jakby domowy.

Stary, łysy zegarmistrz z przeciwka, przez otwarte okno krzyczy mu latem „dzień dobry” i pyta o Bismarcka; suchotniczy powroźnik zaczepia o jego klamkę swoje długie, konopne sznurki, które, dysząc, kręci w wąskiej, wpół widnej sionce kamieniczki; chudy student z facjatki⁵, z nogami jak cyrklowe nożyce, wsadza zmierzchem w jego drzwi głowę na długiej, cienkiej szyi i pożycza od niego łojówkę, którą „zaraz odda, tylko jeszcze z godzinkę popisie...” Straganiarka poda mu czasem przez okno rzodkiew czarną, w zamian za kolorowe skrawki papieru, z których sobie jej chłopaki sporządzają latawce, słynne na całą ulicę; synek gospodarza całymi godzinami przesiedzi u niego, czekając na wolną chwilę, w której Mendel da mu tektury do podklejania wyciętych z arkusza żołnierzy, a tymczasem dziwuje się wielkim uszom nożyc, waży w ręku młotek, wtykając nos w garnczek z kłajstrem, próbując go niemal. Wszystko to tworzy jakąś atmosferę⁶ wzajemnej życzliwości. Staremu Mendlowi dobrze w niej być musi. Mimo sześćdziesięciu i siedmiu lat, rzeński jest jeszcze w sobie. Spokój i powaga maluje się na jego typowej, zawiędłej w trudach twarzy.

Włosy jego są mocno siwe; a długa broda zupełnie siwa. Pierś zakłęśła pod pikowanym kaftanem często zadychuje się wprawdzie, a grzbiet zgarbiony nigdy jakoś nie chce rozprostować, ale tym nie ma się co trapić, póki nogi i oczy starczą, póki i w ręku siła jest. Kiedy mu duszność dech zapiera, a w zgiętym grzbiecie ból jakiś krzyże łamie, stary Mendel nakłada w małą fajeczkę tytoń z poczerniałego, związanego sznurkiem pęcherza i, kurząc ją, wypoczywa chwilę. Tytoń, którego używa, nie jest zbyt wyborny, ale daje taki piękny, siny dymek i tak Mendlowi smakuje. Siny ten dymek ma i to jeszcze w sobie szczególnie, że widać w nim różne rzeczy oddalone i takie, które już dawno minęły.

Widać w nim i Resię, żonę jego, z którą dobrze mu było na świecie przez trzydzieści lat, i synów, którzy się za chlebem rozbiegli, jak te liście wichrem gnane, i dzieci synów tych, i smutki różne, i pociechy, i troski; a już najdłużej to w nim widać jego najmłodszą dziewczynę Liję, tak wcześniej wydaną i tak wcześniej zgasa, po której mu tylko jeden wnuk pozostał. Gdy stary Mendel rozpala swoją fajeczkę, jakieś ciche mruczenie dobywa się z ust jego. W miarę, jak pali i jak dymek siny przynosi mu dalekie obrazy i takie, które już nigdy nie wrócą, mruczenie to rośnie, potężnieje, staje się jękiem niemal. Ta dusza ludzka, dusza starego żyda, ma też smutki swoje i tęsknoty, które zagłusza pracą.

Tymczasem sąsiadka przynosi w jednej ręce garnczek z rosołem, w którym pływają kawałki rozmięklej bułki, a w drugiej przykryty talerz z mięsem i jarzyną. Stary Mendel odbiera od niej ten skromny obiad; nie je go wszakże, tylko postawiwszy na małym, żelaznym piecyku, czeka. Czekanie to trwa niedługo. O samej drugiej drzwi izdebki otwierają się głośno, hałaśliwie, a w nich ukazuje się mały gimnazista; w długim, na wyrost sporządzonym szynelu⁷, w dużej zsuniętej na tył głowy czapce, z tornistrem na plecach. Jest to chłopak dziesięcioletni może, który po matce, najmłodszej córce starego Mendla, wziął piwne, o złocistych blaskach oczy, długie, ciemne rzęsy i drobne usta, a po dziadzi nos orli i wąskie wysokie czoło. Szczupły i mały, chłopak mniejszym się jeszcze i szczuplejszym wydaje, kiedy zrzuci szynel i zostanie tylko w szkolnej, szerokim pasem przepasanej bluzie. Stary Mendel jest w ciągłej o niego obawie. Przeczuciasta cera chłopca, jego częsty kaszel, jego wątłe piersi i pochylone barki, budzą w dziadzie nieustanną troskę. Wybiera też dla niego najlepsze kawałki mięsa, dolewa mu i dokłada na talerz, a kiedy chłopak się naje, klepie go po ramieniu i zachęca do zabawy z dziećmi w podwórku.

Malec rzadko kiedy namówić się pozwala. Jest zmęczony lekcjami, ciężkim szynalem, siedzeniem w szkole, drogą, dźwiganiem tornistra; ma też dużo zadań na jutro. Powłóczy nogami chodząc, a nawet wtedy, kiedy się uśmiecha, piwne jego oczy patrzą z melancholią jakąś.

W kilka chwil po obiedzie malec zasiada przy prostym sosnowym stole, dobywając z tornistra książki i zeszyty, a stary Mendel zabiera się do swego warsztatu. Choć chłopak cicho się sprawnia i, tylko szeptem półgłosem powtarzając lekcje, kiedy niekiedy zaledwie stuknie stołkiem, na którym się buja, podparłszy na stole oba chude łokcie, znać przecie,

⁵facjatka — poddasze.

⁶atmosfera — tu: nastrój, usposobienie.

⁷szynel — płaszcz wojskowego kroju.

że staremu introligatorowi przeszkadza coś w robocie. Co i raz odwraca on głowę, by spojrzeć na chłopca, a choć po kłajster ręką sięgnąć może, obchodzi z boku warsztat, gdy mu go potrzeba, aby po drodze uszczypnąć wnuka w liczko blade, przejrzyste, lub pogłaskać go po krótko przyciętych, miękkich i ciemnych jak krecie futerko włosach. Chłopiec przyzwyczajony jest widać do tych pieszczot, nie przerywa przy nich bowiem ani swego żarliwego szeptu, ani kołysania się na stołku. Stary introligator wszakże zupełnie i tym jest zadowolony, a przyciszając kłapanie pantofli, powraca na palcach do swego warsztatu.

W piątek przed wieczorem scena się odменя: malec uczy się przy oknie, kołysząc się mozolnie na stołku, nie mającym tu swojego rozpędu, a na sosnowym, pokrytym serwetą stole sąsiadka zastawia rybę, makaron i tylko co przyniesioną od piekarza tłustą, pięknie zrumienioną kaczkę. Cynowy, o dziwnie powykręcanych ramionach świecznik z galkami oświeca izbę uroczyście, świątecznie.

Stary Mendel ma na sobie wytarty już nieco, ale jeszcze piękny, żupan czarny, przepasany szerokim pasem, za który z lubością zakłada spracowane ręce. Siwe jego włosy pokrywa jarmułka⁸, a skrzyp nowych z długimi cholewami butów napełnia izbę jakimś radosnym szmerem. Gdy już stół zastawiony został, chłopak się myje, przyczesa swoje krecie futerko na drobnej, podłużnej głowinie, zapina świeży kołnierzyk i czyste mankiety, a założywszy ręce w tył, stoi poważny i wyprostowany, podczas kiedy dziad sięga na półkę⁹ po zwinięty tales¹⁰ i po modlitewnik.

W chwilę potem rozlega się wargowy, brzęczący śpiew modlitewny starego żyda; głos jego przechodzi wszystkie spadki od niskich, śpiewem brzęczących, do wysokich, na których śpiew jego przechodzi w jęk i w żarliwy jakiś lament, w akcenty namiętne, błagalne, łkające. Pod wpływem śpiewu tego mały gimnazysta odczuwa dreszcz nerwowy, błada jego twarzyczka staje się bledszą jeszcze, wielkie oczy to rozszerzają się nad miarę, to mrużą się i zachodzą łzami; patrzy na dziada jakby urzeczony, a spazmatyczne ziewanie otwiera mu usta. Na szczęście, dziad zamyka wkrótce stary modlitewnik i błogosławieństwem rozpoczyna szabasową ucztę.

Zdarzyło się raz latem, że chłopaki od Kołodziejskiego ślusarza i od szewca Pocięzki zebrali się przed otwartym oknem starego introligatora, a zaglądając przez nie do oświetlonej szabasowym światłem izby, robili sobie z tej modlitwy śmieszki i głupią uciechę.

W tej chwili wszakże przechodził tamtędy stary proboszcz, a spojrzawszy przelotnie w okno i widząc modlącego się żyda, który z takim jękiem wołał po swojemu do Boga, uchylił kapelusza. Scena była niema, ale nad wyraz wymowna. Chłopaki zemknęli, jakby ich wiatr zdmuchnął, i nie było odtąd wypadku, aby spokój tej ubogiej izby zamieszany został.

Przedwczoraj dopiero...

Właściwie i przedwczoraj nie stało się nic. Tylko malec powrócił ze szkoły bez czapki, zdyszany, jak zając zgoniony. Zrazu nic mówić nie chciał; dopiero po długich badaniach wyznał, że jakiś obdartus krzyknął na niego „żyd!... żyd!...”, więc on uciekał i czapkę zgubił, i nie śmiał wracać po nią.

Fala gniewu uderzyła staremu Mendlowi do twarzy. Wyprostował się, jakby urósł nagle, splunął, a potem chłopaka twardo za ramię ująwszy, do stołu pchnął i obiad w milczeniu spożył.

Po obiedzie nie wrócił do warsztatu i fajki nie nakładał, tylko sapiąc, po izbie chodził. Malec także do lekcji się nie brał, ale patrzył na dziadka załękionym wzrokiem. Nigdy go jeszcze tak gniewnym nie widział.

— Słuchaj ty! — przemówił wreszcie, stając przed chłopcem, Mendel. — Jak ja ciebie małego sierotę wziął i chował, i za niańkę także był, i piastował ciebie, nu, to nie na to ja ciebie chował i nie na to ciebie piastował, co by ty głupi był! I jak ja ciebie uczyć dał, jak ja ciebie do szkoły posyłał, jak ja tobie książki kupowałem, to też nie na to, co by ty głupi był! A ty ze wszystkim głupi rośniesz, i nie ma u ciebie żadnej mądrości! Jakby u ciebie mądrość była, to by ty tego nie wstydził się, nie płakał, nie uciekał, że kto na ciebie „żyd” krzyknie. A jak ty tego płaczesz, jak ty uciekasz i jeszcze taką piękną nową czapkę gubisz,

⁸jarmułka — czapeczka.

⁹polica — półka.

¹⁰tales — chusta w białe i czarne pasy, którą Żydzi zarzucają na ramiona podczas modlitwy.

co pięć złotych bez sześciu groszy kosztuje gotówką, pieniędzmi, nu, to ty ze wszystkim głupi jesteś, a te szkoły, te książki, te nauki, to wszystko na nic!

Odsapnął i znów mówić zaczął:

— Nu, co to jest żyd? Nu, jaki ty żyd? — mówił już łagodniejszym głosem. — Ty się w to miasto urodził, toś ty nie obcy, toś swój, tutejszy, to ty prawo masz kochać to miasto, póki ty uczciwie żyjesz. Ty się wstydzisz nie masz, żeś żyd. Jak ty się wstydzisz, żeś ty żyd, jak ty się sam za podłego masz, dlatego, żeś żyd, nu, to jak ty możesz jakie dobro zrobić dla to miasto, gdzie ty się urodził, jak ty jego kochać możesz?... Nu?...

Zachłysnął się i znów przed chłopakiem stanął. Tym razem jednak patrzył na jego złęknioną twarzyczkę z jakimś rozrzewnieniem. Położył mu na głowie rękę i rzekł z naciśnięciem:

— Uczciwym żydem być jest piękna rzecz! To pamiętaj sobie! A teraz się ucz, żeby ty głupim nie był, a czapkę to ja tobie inszą kupię, to ty nie potrzebujesz płakać, bo to głupstwo jest!

Małec pocałował w rękę dziada i wziął się do książek. Stary introligator bardziej jednak był poruszony tą sprawą, niż to chciał dziecku okazać. Długo bowiem po izbie chodził, nie kończąc pilnej, zaczętej roboty, i spluwając po kątach, jakby się goryczą jaką nakarmił. Nie przetrwał on tej goryczy w sobie i przez noc widocznie, gdyż bardziej zgarbiony i postarzały niż zwykle nazajutrz wstał; kiedy chłopiec, podpiąwszy rzemienie tornistra, do szkoły ruszył, stary poszedł do okna i patrzył za nim niespokojnie, długo.

Niepokój ten nie opuszczał go i przy pracy nawet. Częściej niż zwykle, pod wpływem jakiegoś rozdrażnienia nakładał krótką fajeczkę i podchodził do okna, i patrzył podejrzliwie w tak dobrze, w tak dawno znaną sobie uliczkę. Pod wpływem też tego rozdrażnienia zapewne, ruch jej, jej głosy, jej tętno, inne mu się jakieś, niż zwykle, wydały.

Gdy jednak małec powrócił ze szkoły wesół, bo piątkę dostał, rozbawiony nową czapką, która mu na oczy wjeżdżała, stary o swoich przywidzeniach zapomniał i czy to sam dla siebie, czy dla uciechy dziecka, gwizdał przy robocie, jak za młodych czasów!

Po obiedzie wpadł po akta dependent, pachnący piżmem¹¹.

— Co słyszać? — spytał.

— Wszystko dobrze, broń Boże od złego! — odrzekł Mendel Gdański.

— Podobno żydów mają bić?... — rzucił pachnący dependent z głupkowatym uśmiechem.

— Nu, jak bić, to bić! — odrzekł Mendel, pokrywając wrażenie, jakie na nim te słowa wywarły. — A kto ich ma bić? Urząd?...

— I... Urząd by tam — rozśmiał się mały dependent.

— Nu, jak nie urząd, to i chwała Bogu! — rzekł Mendel.

Roześmiali się obaj. Młody dependent głupkowato, żyd z przymusem widocznym.

Zły był, że ta rozmowa toczyła się przy dziecku. Spojrzał na chłopca spod brwi nasuniętych. Małec wlepił w dependenta wielkie swoje oczy i dopiero, kiedy ten za progiem był, spuścił je na karty książki pociemniałe, palające. Stary Mendel, jakby nie widział tego, zaczął znowu gwizdać. Ale gwizdanie to miało coś w sobie ze świstu przytłoczonej wielkim ciężarem piersi, nuta przycichała, głuchła, zasypiała, aż urwała się zgrzytem czy jękiem.

Zmierchało już w izbie, kiedy przez niskie drzwi wcisnął się gruby zegarmistrz w popielatym haweloku¹², jakiego stale używał w tej porze.

— Słyszałeś pan nowinę? — zapytał, siadając na brzegu stołu, przy którym uczył się małec.

— Nu — odparł Mendel — co mnie po nowinów? Jak ona będzie dobra, to ona i wtedy będzie dobra, kiedy ona nie będzie nowina, a jak zła, nu, to na co ja ją słuchać mam?

— Podobno żydów mają bić — rzekł tłusty zegarmistrz, kiwając nogą w wyciętym trzewiku z błyszczącą stalową sprzączką.

Stary Mendel zamrugnął kilka razy nerwowo, koło ust przebiegło mu nagle drgnięcie. Wnet opamiętał się jednak i, przybrawszy ton jowialnej¹³ dobroduszości, rzekł:

¹¹piżmo — rodzaj ostrych perfum.

¹²hawelok — płaszcz z peleryną.

¹³jowialny — dobrodusznie żartobliwy.

— Żydów? Jakich żydów? Jeśli tych, co uni złodzieje są, co uni ludzi krzywdzą, co uni po drogach rozbójstwo robią, co uni z tego biednego skórę ciągną, nu, to czemu nie? Ja sam pójdę ich bić!

— Ale nie! — roześmiał się zegarmistrz. — Wszystkich żydów...

W siwych żrenicach Mendla zapalił się błysk nagły. Przygasił go jednak wół spuszczonej powieką i niby obojętnie zapytał:

— Nu, za co oni mają wszystkich żydów bić?

— A za cóż by? — odrzucił swobodnie zegarmistrz. — Za to, że żydy!

— Nu — rzekł Mendel, mrużąc siwe oczy — a czemu uni do lasa nie idą i nie biją brzeziny za to, że brzezina, albo jedliny za to, że jedlina?...

— Ha! ha! — rozśmiał się zegarmistrz. — Każdy żyd ma swoje wykręty! Przecie ta jedlina i ta brzezina to nasze, w naszym lesie, z naszego gruntu wyrosła!

Mendel aż się zachłysnął, tak mu odpowiedź na usta nagle wypiała. Pochylił się nieco ku zegarmistrzowi i głęboko zajrzał mu w oczy.

— Nu, a ja z czego wyrósł? A ja z jakiego gruntu wyrósł? Pan dobrodziej mnie dawno zna? Dwadzieścia i siedem lat mnie pan dobrodziej zna! Czy ja tu przyszedł jak do karczmy? Zjadł, wypił i nie zapłacił? Nu, ja tu nie przyszedł jak do karczmy! Ja tu tak w miasto urósł, jak ta brzezina w lesie! Zjadł ja tu kawałek chleba, prawda jest. Wypił też wody, i to prawda jest. Ale za tego chleba i za tej wody ja zapłacił. Czym ja zapłacił? Pan dobrodziej chce wiedzieć, czym ja zapłacił?

Wyciągnął przed siebie obie spracowane, wyschłe i żylaste ręce.

— Nu — zawołał z pewną porywcznością w głosie — ja tymi dziesięciu palcami zapłacił! Pan dobrodziej widzi te ręce?

Znów się pochylił i trząsł chudymi rękami przed błyszczącą twarzą zegarmistrza.

— Nu, to takie ręce są, co ten chleb i te wodę próżno do gęby nie nosiły! To takie ręce są, co się pokrzywiły od noża, od obcęgow, od śruby, od młota. Nu, ja nimi zapłacił za każdy kęs chleba i za każdy kubek wody, co tu zjadł i wypił. Ja jeszcze i te oczy przyłożył, co już dobrze patrzeć nie chcą, tego grzbietu, co nie chce już prosty być i te nogi, co nie chcą mnie już nosić!

Zegarmistrz słuchał obojętnie, bawiąc się dewizką¹⁴. Żyd sam się roznamiętniał swą mową.

— Nu, a gdzie ta zapłata moja jest? Ta zapłata moja jest w szkole u dzieci, u tych paniczów, u te panienki, co się uczą na książkę, co piszą na kajetu¹⁵, nu. Una i w kościół jest, jak tam z książkami ludzie idą... Nu, una i u wielmożnego proboszcza jest, bo ja i jemu oprowiał książki, niech un zdrowy żyje!

Tu uchylił jarmułka, a potem dodał:

— Moja zapłata w dobrych rękach jest!

— Tak się to mówi — odparł dyplomatycznie¹⁶ zegarmistrz — ale żyd zawsze żydem!...

Nowe iskry zagorzały w oczach starego introligatora.

— Nu, a czym un ma być? Niemcem ma być? Francuzem ma być?... Może un koniem ma być? Nu, bo psem to un już dawno się zrobił, to un już jest!

— Nie o to chodzi! — rzekł patetycznie¹⁷ zegarmistrz. — Chodzi o to, żeby nie był obcym!...

— O to chodzi? — odparł żyd, przechylając się w tył i cofając łokcie. — Nu, to niech mi tak od razu pan dobrodziej powiada! To jest mądre słowo! Ja lubię słyszeć mądre słowo! Mądre słowo to jest jak ojciec i jak matka człowiekowi. Nu, ja za mądre słowo to bym miłą drogą szedł. Jak ja mądre słowo usłyszę, to mnie za chleb starczy. Jakby ja wielki bogacz był, wielki bankier, nu, to ja by za każde mądre słowo dukata dał. Pan dobrodziej powiada, co by żyd nie był obcy? Nu, i ja tak samo powiadam. Czemu nie? Niech un nie będzie obcy. Na co un obcy ma być, na co ma obcym się robić, kiedy un i tak swój? Pan dobrodziej myśli, co jak tu deszcz pada, to un żyda nie moczy, bo żyd obcy? Albo może pan dobrodziej myśli, co jak tu wiatr wieje, to un piaskiem nie sypie w oczy temu

¹⁴dewizka — łańcuszek przy zegarku wraz z jakąś ozdobą czy figurką.

¹⁵kajet — zeszyt.

¹⁶dyplomatycznie — oględnie, ostrożnie.

¹⁷patetycznie — z uroczystą powagą.

żydowi, bo żyd obcy? Albo może pan dobrodziej myśli, że jak ta cegła z dachu leci, to una żyda ominie, bo un obcy? Nu, to ja panu dobrodziejowi powiem, że una jego nie ominie. I wiatr jego nie ominie, i deszcz jego nie ominie! Patrz pan dobrodziej na moje włosy, na moje brode... Uny siwe są, uny białe są... Co to znaczy? To znaczy, co uny dużo rzeczy widziały i dużo rzeczy pamiętają. To ja panu dobrodziejowi powiem, co une widziały wielgie ognie¹⁸, i wielgi pożar, i wielgie pioruny na to miasto bić, a tego, co by od te ognie i od ten pożar, i od te pioruny żydy były uwolnione, to uny tego nie widziały! Nu, a jak noc jest na miasto, to una i na żydów jest, to i na żydów wtedy nie ma słońce!

Odetchnął głęboko, ciężko.

— Pan dobrodziej na zabawy chodzi? Pan dobrodziej na tańce bywa?

Gruby zegarmistrz skinął głową i zakołysał się na stole, brzęcząc dewizką.

Pochlebiali mu to, że introligator uważa go za człowieka światowego i mogącego jeszcze zabawić się tańcami.

Żyd gorejącymi oczyma patrzył w jego twarz płaską, ozdobioną szerokim, mięsistym nosem.

— A smutku swego, swego kłopotu pan dobrodziej ma?

Zegarmistrz podniósł brwi, przybierając minę niezdeterminowaną. Właściwie pragnął się on okazać wyższym nad podobne drobnostki, jak kłopot i smutek, ale że nie wiedział, do czego żyd zmierza, milczał więc dyplomatycznie.

Stary introligator odpowiedzi też nie czekał, tylko mówił dalej głosem wezbranym, pełnym:

— Nu, jak pan dobrodziej na tańce bywa i swego smutku też ma, to panu dobrodziejowi wiadomo jest, że się ludzie do tańca, do wesołości zejdą, i po wesołości się rozejdą, i nic. Ale jak te ludzie do smutku się zejdą, jak się uni do płakania zejdą, nu, to już nie jest nic. To już ten jeden temu drugiemu bratem się zrobił, to już ich ten smutek jednym płaszczem nakrył. To ja panu dobrodziejowi powiem, co ja w to miasto więcej rzeczy widział do smutku niż do tańca, i że ten płaszcz to bardzo duży jest. Ajaj, jaki un duży!... Un wszystkich nakrył, i ze żydami też!

Odwrócił się bokiem i spojrzał za siebie w okno.

— Mój panie Mendel — rzekł zegarmistrz tonem wyższości. — Gada się to tak i owak, ale każdy żyd, byle pieniądze miał.

Stary introligator nie dał mu dokończyć, ale podniósłszy rękę, trząsł nią jakby się od natrętnego owada opędział.

— Niech mi pan dobrodziej nie powie te mowę! To jest mowe od wszystkie głupie ludzie. Jakby żydowi pieniądź za wszystko miał być, to by jemu Pan Bóg od razu kieszeń w skórę zrobił, albo i dwie. A jak jemu Pan Bóg kieszeń w skórę nie zrobił, nu, to na to, że żydowi pieniądź tyle ma być, co i każdemu.

— Ma być! — zawołał triumfalnie¹⁹ zegarmistrz, podnosząc tłusty podbródek i muskając się po nim. — Ale nie jest! W tym sęk, że nie jest...

Uśmiechnął się Mendel wpół smętnie, a wpół filuternie²⁰.

— A ja panu dobrodziejowi powiem, co tam właśnie sęka nie ma, tylko jest dziure. Ajaj, jakie dziure!

Spowaźniał nagle i kiwał głową, patrząc w ziemię.

— Pan dobrodziej myśli, co ja te dziure nie widzę? Ja ją widzę. Że una się zrobić mogła, to jest źle; ale że una dotąd niezałatana jest, to jeszcze gorzej. W te dziure to dużo mocy wpada i w słabość się obraca. I dużo rozumu wpada, a w głupstwo się obraca. I dużo dobroci wpada, a w złość się obraca... Chce mi pan dobrodziej wierzyć? Te dziure to nie żydki zaczęły pierwsze drzeć. Nu, że uni ją potem darli, to ja wiem, to ja nie skłamię, nie powiem, że nie! Ale najpierw, to ją zaczęła drzeć zapomnialość na to, co wszystkie ludzie od jednego Boga stworzone są.

Złożył dwa pierwsze palce w rękę, jakby tabakę brał, a wystawiwszy mały, dodawał tym gestem²¹ precyzji²² dowodzeniu swemu.

¹⁸wielgie ognie — Mendel ma na myśli wypadki warszawskie w latach 1861–1864.

¹⁹triumfalnie — zwycięsko.

²⁰filuternie — żartobliwie.

²¹gest — ruch.

²²precyzja — ścisłość.

— To była pierwsza nitka, co tam w to miejsce pękła. Nu, tak jedni zaczęli do siebie ciągnąć, a drudzy znów do siebie i tak się już dalej rwało. Pan dobrodziej powiada, co dla żyda pieniądź wszystko jest? Nu, niech i tak będzie! A wie pan dobrodziej czemu? Nie wie pan dobrodziej? Pan dobrodziej myśli, temu, co żydki chytne są? To się pan dobrodziej myli. Pan dobrodziej zna ten słup na Ujazdów? Nu, pan dobrodziej się śmieje! To tam na ten słup położony będzie hunor²³, i wielga familja, i wielgie urzędy, i pieniądze też, nu, to jeden wliże na słup po ten hunor, a drugi po te mądrość, a trzeci po te herby, a czwarty po te sławność, a i taki się znajdzie, co po te pieniądze wliże, choć insze rzeczy przy nich są. Ale jak na ten słup położone będą tylko pieniądze, a nie będzie ani hunoru, ani sławności, ani mądrości, to po co ludzie będą na ten słup liżć? Jak pan dobrodziej myśli? Po pieniądze uni będą liżć i po nic więcej? A te z dołu, co się przypatrują, to będą krzyczeć: ajaj, jaki to chytry naród, po pieniądze tylko lizie, pieniądze u niego wszystko! A im kto mniejszy będzie, albo na głębszym dołu stał, to mniej widzieć będzie a głośniej jeszcze krzyczeć. A tylko te wysokie ludzie, te na górze stojące, widzieć będą, co na ten słup nic innego położone nie jest, i tym, co po to lizą, co tam położone jest, nie będą się dziwowali, a krzyczeć, to uni też nie będą. Co na nasz słup leży? Pieniądze tylko leżą, tak my po pieniądze idziem. Ale to nie jest pierwsze złe. Pierwsze złe, to jest takie, co dwa słupy są i co na nich nierówne rzeczy leżą.

— Jeszcze by! — roześmiał się impertynencko²⁴ zegarmistrz.

— W teorii²⁵ zresztą — dodał poważniej — masz pan może i słuszność. Ale w praktyce inaczej się to okazuje. Was, żydów, lęgnie się jak tej szarańczy, a zawsze to żywioł cudzy...

Stary intrologator znów zamrugał nerwowo razy kilka i znów siwe swoje oczy w polowie rzęsami przysłonił.

— Mądry człowiek, choćby w garści dwa kamienie miał i trzy choćby miał, to tylko jednym w psa ciska. A pan dobrodziej dwoma kamieniami od razu cisnął na starego żyda... Ale to nic nie szkodzi. Ja ten jeden podniosę i ten drugi też podniosę. Mój grzbiet już się sam do ziemi schyla...

Musnął dwa razy białą swą brodą i, pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Pan dobrodziej wie, jak ja się nazywam? Nu, ja się nazywam Mendel Gdański. Że ja się Mendel nazywam, to przez to, co nas było dzieci czternaście, a ja się piętnasty urodził, tu, na Stare Miasto, w te wąskie uliczke, zara za te żółte kamienice, gdzie apteka. Pan dobrodziej wie? Nu, jak ja się tam urodził, to nas było dzieci piętnaście, cały mendel. Przez to ja się Mendel nazywam. Czy nas ojciec nieboszyk potopić miał? Nie miał nas potopić! Raz, że się un Pana Boga bał, a drugi raz, że un te swoje piętnaście dzieci tak kochał, że jak matka przyniosła śledź, to un tylko główkę sobie urwał, a całego śledzia to dzieciom dał, co by się najadły, co by nie były głodne. Tak ich kochał.

Zachłysnął się. Poczzerwieniał, oczy mu się zapaliły nagłym przypomnieniem. Wnet się jednak pohamował i mówił dalej z jowialnym uśmiechem, w którym gorzką ironię²⁶ dostrzec było można.

— Ale ja, Mendel, widział, co mendlowi całemu złe na świecie, tak sam już tylko pół tuzina dzieci miał; a moja córka, Lija, nu, una tylko jednego syna miała i od boleści wielkiej umarła. Żeby una żyła, a sześć synów miała, a patrzała, na co ja patrzę, nu, to una by sześć synów od boleści umierać musiała!

Mówił szybko, coraz szybciej, głosem namiętnie przyciszonym, pochylając się ku zegarmistrzowi i przenikając go palającym wzrokiem. Po chwili wyprostował się, wciągnął w starą pierś głęboki, ciężki oddech i, uśmiechnąwszy się smętnie, rzekł:

— To już my go nie nazywali Mendel, to już my go nazwali Jakub.

— Kubuś, pójdz tu! — zawołał, jakby pierwszy raz przypominając sobie obecność chłopca. A gdy malec wstał ze stolka i, szastnąwszy bucietami przed zegarmistrzem, do dziada się przytulił, stary pogłaskał go po głowie i rzekł:

— Kubuś, to takie imię, co go i pan dobrodziej, na ten przypadek, godnemu synkowi może dać. To jest takie imię, co to jak na tym sądzie króla Salomona: niech nie będzie

²³hunor — honor, zaszczyt, dostojństwo.

²⁴impertynencko — niegrzecznie.

²⁵teoria — zasady jakiegś nauki.

²⁶ironia — drwiny.

ani mnie, ani tobie. To dobre imię jest! Po te imię, to jak po te kładke, przejdą ludzie z te niedobre czasy do te dobre czasy, kiedy jeden drugiemu nie będzie liczył, czy w domu dużo ma kołyski... Bo w te dużo kołyski dużo pracy jest, i dużo głodu jest, i dużo mogiłki też...

I nie na tym mądrość jest, co by mało ludzi było; ale na tym mądrość jest, co by uni dużo dobrego zrobili, dużo ziemi obsiali, dużo obkopali, dużo obsadzili. Co by uni dużo przemysłowców mieli, dużo rozumu się uczyli, dużo dobroci znali w sercu jeden dla drugiego. Mnie jeden stary chłop powiadał, co jak bocian więcej dzieci ma, niż ich wyżywić może, to jedno albo dwa z gniazda zruć. Tak niech już pan dobrodziej kłopotu o to nie ma. To i nad ludźmi taka moc musi być, co te gęby liczy i te ziarna w kłosie też...

Trząś siwą brodą, coraz silniej tuląc malca do swego boku.

— Nu, ja nie tylko nazywam się Mendel, ja jeszcze nazywam się Gdański. Nu, co to jest Gdański? To taki człowiek, albo taka rzecz, co z Gdańska pochodząca jest. Pan dobrodziej wie?... Wódka gdańska jest i kufer gdański jest, i szafa gdańska jest... tak uny gdańskie mogą być, tak ja jestem Gdański. Nie jestem paryski, ani nie jestem wiedeński, ani nie jestem berliński, — jestem Gdański. Pan dobrodziej powiada, co ja cudzy. Nu, jak to może być? Jak ja Gdański, to ja cudzy? Tak pan dobrodziej powiada? Czy to tam już wyszła Wisła? Czy tratwy tam nie idą od nasze miasto? Czy tam te łapciuchy²⁷ nasze flisy już nie są?... To już wszystko cudze?... To pan dobrodziej taki hojny? Nu! szkoda, co ja przód nie wiedział o tym, co pan dobrodziej taki hojny, bo ja bym poprosił pana dobrodzieja choć o połowę sklepu, choć o połowę te wszystkie zegarki, co tam są...

Zegarmistrz śmiał się i chwytął za boki.

— A niechże pana nie znam! A toś pan wywiódł sztukę, że i Bosko²⁸ lepiej nie potrafi! Że Gdański, to już swój! Cha! cha! cha!...

Stary żyd kiwał głową i uśmiechał się także. Filuteria²⁹ sofist³⁰ błyszczała mu w oczach, ale uśmiech był gorzki, kolący...

— Mendel Gdański i Jakub Gdański — rzekł po chwili z powagą, zwracając się do wnuka i jakby przekazując mu dostojność swojego nazwiska i swojej tradycji³¹.

— Nu, co un jest ten Mendel Gdański? Un żyd jest, w to miasto urodzony jest, w to miasto un żyje, ze swojej pracy, w to miasto ma grób ojca swego, i matki swojej, i żony swojej, i córki swojej. Un i sam w to miasto kości swoje położy.

— Nu, co un jest ten Kubuś Gdański? — ciągnął dalej, odsuwając od siebie chłopca na środek izby na długość swej ręki i nie puszczając jego ramienia.

— Nu, un uczeń jest. Un w szkole siedzi, w ławkę, przy swoich kolegi un siedzi, w książkę patrzy, pisze, uczy się. Nu, na co un się uczy? Un się na to uczy, co by rozum miał. Nu, czy un ten rozum gdzie poniesie, jak un go będzie miał? Un go nigdzie nie poniesie w obce miejsce. Un go nie poniesie do wody utopić, ani do ognia spalić, ani do ziemi zakopać. Un tu mądry będzie, na ten kraj, na to miasto będzie rozum miał. To będzie w ten kraj cały rozum, co by bez niego był, i jeszcze ten rozum będzie w ten kraj, co un go Kubuś będzie miał. Czy pan dobrodziej myśli, co to będzie za dość? Za dużo? Nu, pan dobrodziej takie głupstwo nie może myśleć?

Nu, a jak un rozum będzie miał, to un będzie wiedział takich rzeczy, jakie ja nie wiem i pan dobrodziej nie wie. Un może i to będzie wiedział, co wszyscy ludzie dzieci są od jednego Ojca, i co wszyscy ludzie kochać się mają, jak te bracia...

Przyciągnął do siebie na powrót chłopca, a objąwszy jego szyję, pochylił się do zegarmistrza i szepnął:

— Bo to delikatne dziecko jest... sierota jest... bardzo miętkiego serca...

Pogłaskał chłopca po twarzy i dodał:

— Idź, kochanku, połóż się spać, bo jutro do szkoły pójdziesz.

Malec znów szastnął bucietami przed zegarmistrzem, dziada rękę do ust przycisnął i zniknął za pąsową firanką, dzielącą izbę od małej alkowy³².

²⁷łapciuch — obdartus.

²⁸Bosko — sławny kuglarz czarnoksiężnik.

²⁹filuteria — figlarność.

³⁰sostista — tu: człowiek zręczny, choć niezupełnie słusznie, rozumujący i dowodzący.

³¹tradycja — poglądy i uczucia przekazane przez przodków.

³²alkowa — ciemny pokój, sypialnia.

Stary żyd błysnął oczami raz i drugi, zachłysnął się i, unosząc brodę, spytał:

— Nu, z przeproszeniem pana dobrodzieja, kto to powiadał, co żydów mają bić? Ja się przy to dziecko pytać nie chciał, żeby go broń Boże nie przestraszyć, bo to bardzo delikatne dziecko jest, ale teraz, to ja się pana dobrodzieja o to bez urazy spytam...

Uśmiechał się pochlebnie, ujmująco, siwe jego oczy patrzyły z przymileniem.

Zegarmistrz, zbity nieco z tropu poprzednimi wywodami żyda, natychmiast uczuł swoją przewagę.

— Powiadają... — bąknął niedbale, wydymając wargi.

— Nu, kto powiada? — pytał żyd, a oczy już z aksamitnych stawały się ostre, kłujące.

— Ludzie powiadają... — bąknął tym samym tonem zegarmistrz.

Stary żyd odskoczył nagle na dwa kroki, ze zwinnością, której by się nikt w nim nie domyślał. Wzrok jego pałał, wargi parskwały, głowę postawił jak kozioł.

— Ludzie?... Ludzie powiadają? — pytał głosem syczącym, w coraz wyższe wpadającym tony.

— Ludzie?...

I za każdym wymówionym wyrazem pochylał się coraz bardziej naprzód, przysiadł niemal.

Zegarmistrz patrzył obojętnie, bawiąc się dewizką i kiwając nogą w trzewiku. Uważał jednak, że ta postawa żyda jest wobec niego niewłaściwa i śmieszna.

— Cóż to pana tak dziwi? — zapytał chłodno.

Ale stary introligator już się uspokoił. Rozpatrywał się, ręce wparł w biodra, brodę wyrzucił do góry, oczy zmrużył.

— Pan dobrodziej się myli — rzekł. — Ludzie tego nie powiadają. To powiada wódka, to powiada szynk, to powiada złość i głupota, to powiada zły wiatr, co wieje.

Wzniósł rękę i machnął nią wzgardliwie.

— Niech pan dobrodziej śpi spokojnie. I ja będę spokojnie spał, i to dziecko będzie spokojnie spało! Nasze miasto bardzo dużo smutku ma i bardzo dużo ciemności, i bardzo dużo nieszczęścia, ale na nasze miasto jeszcze to nie przyszło, co by się w nim ludzie gryźli jak psy. O to może pan dobrodziej spokojny być!

Zacisnął usta i sięgnął z powagą po ciężki cynowy lichtarz, jakby chciał zaraz świecić gościowi do sieni. Zsunął się pan zegarmistrz ze stołu, nacisnął hawelok, umocnił na głowie kapelusz, który mu gdzieś na kark zjechał, i rzuciwszy: dobranoc, wyszedł.

Wtedy żyd ode drzwi wrócił, lichtarz na stole umieścił, a przyszedłszy na palcach ku alkowiemu, pąsowej firanki uchylił i ucha nadstawił.

Z wewnątrz alkowy słychać było oddech dziecka gorączkowy, nierówny, chrypliwy. Mała lampka o zielonej szklanej banieczce paliła się tam na stolku. Stary pantofle zrzucił, do łóżka podszedł i zapatrzył się w rozognioną twarzyczkę chłopca niespokojnie, badawczo. Chwilkę tak stał, wstrzymując dech w piersi, po czym westchnął i, wysunawszy się z alkowy, na stolku ciężko siadł, oparł dłonie o kolana i zakłósał siwą swoją głowę.

Zgarbiony był teraz i jakby postarzały o jaki lat dziesiątek. Usta jego poruszały się bezdźwięcznie, pierś dyszała ciężko, oczy utkwione były w podłogę. Cienka świeca dogasała, skwiercząc w cynowym lichtarzu.

Nazajutrz rano uliczka obudziła się cicha jak zwykle i jak zwykle spokojna. Gdański od wczesnego ranka stał w skórzanym fartuchu przy swoim warsztacie. Wielkie jego nożyce zgrzytały po papierze zapalczywie, twardo, śruba prasy piszczała, dociskana do ostatniego kręgu, nóż wąski, długi, błyskał pod ranne słońce zużytą swą klingą, skrawki papieru padały z szelestem na prawą i na lewą stronę. Stary introligator pracował gorączkowo, żarliwie; na jego zwieńczonej, głęboko zbruzdzonej twarzy znać było noc niespaną. Gdy przecież wypił lichą kawę, którą mu sąsiadka w dużym fajansowym imbryku przyniosła, raźniej mu się jakoś na sercu zrobiło, nałożył krótką fajeczkę, zapalił i poszedł budzić wnuka.

Chłopak zasnął dziś jakoś. Długo w noc na posłaniu rzucał się, jak ryba, a teraz spał snem głębokim, cichym. Cienki promień słońca, wpadający do alkowy przez otwór pąsowej firanki, kładł mu się na oczach, na ustach, na wątlach, odkrytych piersiach; to znów

w ciemnych miękkich włosach i w długich spuszczonej rzesach zapalał złoto brunatne, migotliwe płomyki.

Stary patrzył się z lubością na dziecko. Czoło jego wyglądało się, usta rozszerzały, oczy mrużyły i nabierały blasku. Roześmiał się wreszcie szczęśliwym cichym śmiechem, a wciągnąwszy wielki kłęb dymu z fajeczki, pochylił się i puścił go pod sam nos chłopaka. Malec się zakrztusił, zerwał, szeroko otworzył złote swoje oczy i zaczął je trzeć złożonymi w dwie chude piąstki rękami. Śpieszył się teraz niezmiernie, był zafrasowany; jedno z zadań zostało niedokończonych, książki, kajety niepokładane leżały dotychczas na stole. Już i kawy nie dopił, i bułki na pauzę, przełożonej dwoma plasterkami zimnego jajka na twardo, nie chciał wziąć, tylko w tornister książki rzucił, niepewny, czy się nie spóźni. Kiedy wszakże, szynel na ramiona wzięwszy, do drzwi zmierzał, drzwi otwarły się gwałtownie, a chudy student z facjatki pchnął go na powrót do izby:

— Uciekaj, bo żydów biją!

Rozdrażniony był widocznie bardzo. Jego ospowata, długa twarz zdawała się jeszcze dłuższa i jeszcze bardziej spustoszona; krok, jaki z sieni do izby zrobił, oddalił cienie jego nogi na niezmierną odległość od siebie, małe bure oczy sypały iskry gniewu. Wylękły malec kłębkiem potoczył się aż ku stołowi, upuszczając szynel i tornister...

Stary osłupiał. Ale wnet oprzytomniawszy, ogniami z twarzy buchnął: jak żbik do studenta skoczył...

— Co to uciekaj?... Gdzie un ma uciekać?... Na co un ma uciekać?... Czy un tu ukradł co komu, co by un uciekać miał?... Czy un tu w cudzej stancji siedzi?... W cudzy dom... Un tu w swojej stancji siedzi! W swój dom! Un tu nikomu nic nie ukradł! Un do szkoły idzie! Un nie będzie uciekał!...

Przyskakiwał do stojącego we drzwiach studenta, skurczony, zebrany w sobie, syczący, parskający i trzęsący brodą.

— Jak tam pan chcesz! — rzucił szorstko student. — Ja powiedziałem...

I zabierał się do wycofania z izby swej niezmiernie długiej nogi. Stary introligator uchwycił go za poję wytartego paltota.

— Jak ja chcę?... Nu, co to jest za gadanie, jak ja chcę! Ja chcę, co bym ja spokój miał. Ja chcę spokojnie zjeść mój kawałek chleba, co ja na niego pracuję! Nu, ja chcę wychować te sierotę, ten chłopiec, co by z to dziecko człowiek był, co by nikt na niego nie pluł, kiedy un nic winny nie jest!... Nu, ja chcę, co by nie było ani mojej, ani niczyjej krzywdy, co by sprawiedliwość, co by się ludzie Boga bali!... Nu, ja tego chcę! A uciekać to ja nie chcę! Ja w to miasto się urodziłem, w ten dom dzieci miał, ja tu nikogo nie skrzywdziłem, ja tu warsztat mam...

Nie skończył, kiedy od załamu uliczki ozwała się głucha wrzawa, jakby z daleka gdzieś przeciągającej burzy. Po twarzy studenta przeleciał kurcz nagły, wpół głośnie kłątwa wypadła mu przez ściśnięte zęby.

Stary introligator umilkł, wyprostował się i, wyciągnąwszy chudą szyję, nadłuchiwał chwilę. Wrzawa zbliżała się szybko. Słychać już było gwizd przeciągły, śmiechy, wołania, wybuchy krzyków i płaczu lament. Uliczka zawrzała. Zamykano bramy, tarasowano sklepy, jedni biegli wprost na wrzawę, drudzy uciekali od niej.

Nagle malec wystraszony rozsłochał się głośnie. Student z naciskiem drzwi zamknął i zniknął w pustej sionce.

Stary żyd słuchał. Ani szlochania dziecka, ani wyjścia studenta zdawał się nie spostrzegać. Wzrok miał jak gdyby cofnięty w siebie, dolną wargę obwisłą, ucho nastawione. Mimo skórzanego fartucha, widać było drżenie jego starych kolan; twarz z czerwonej stała się brunatna, z brunatnej żółta, z żółtej kredowo-biała. Wyglądał jak człowiek trafiony postrzałem. Chwilka jeszcze, a to stare, osłabłe ciało złamie się i runie.

Coraz bliższa, coraz wyraźniejsza wrzawa wpadła nareszcie w opustoszałą uliczkę z ogromnym wybuchem krzyku, świstania, śmiechów, kłąt, złorzeczeń. Ochryple pijackie głosy zlewały się w jedno z szatańskim piskiem niedorostków. Powietrze zdawało się pijane tym wrzaskiem motłochu; jakaś zwierzęca swawola obejmowała uliczkę, tłoczyła ją, przewalała się po niej dziko, głuźdząc. Trzask łamanych okiennic, łoskot toczących się beczek, brzęk rozbijanego szkła, łomot kamieni, zgrzyt drągów żelaznych, zdawały się, jak żywe, brać udział w tej ohydnej scenie. Jak płatki gęsto padającego śniegu wylatywało i opa-

dało pierze z porozrywanych poduszek i betów. Już tylko kilka lichych kramów dzieliło izbę Mendla od rozpasanej ciżby. Malec przestał szlochać i, trzęsąc się cały jak w febrze, przysiadł się do dziada. Jego wielkie, ciemne oczy pociemniały jeszcze i świeciły ponuro z pobladłej twarzyczki. Dziwna rzecz! To przytulenie się dziecka i to bliskie już niebezpieczeństwo skrzepiły starego żyda. Położył rękę na głowie wnuka, tchu w piersi nabrał szerokim oddechem, a choć twarz miał jeszcze jak opłatek białą, do żrenic już przywołał i ogień, i życie.

— Sz... — szepnął uspokajająco.

Teraz dopiero uciszał płacz, który już sam umilkł, zduszony wielkim strachem. Teraz dopiero to przedchwilowe szlochanie dziecka dochodziło do jego świadomości.

W tej chwili do długiej, wąskiej sionki wpadło kilka kobiet: powroźniczka z dzieckiem na ręku, stróżka, straganiarka.

— Dalej, Mendlu! — krzyknęła od progu stróżka — zjeżdża im z oczów! Ja tu duchem w oknie obrazik postawię, albo krzyzik. Już ta po inszych izbach stoi... To tam nie idą!...

Chwyciła malca za rękę.

— Dalej, Kubuś! Do alkowy!...

Obstały ich, zasłaniały sobą, pchały ku paśowej firance. Znały tego żyda tak dawno, był usłuznym, dobrym człowiekiem. Za kobietami zaczęli się wsuwać inni mieszkańcy małej kamieniczki. Izba zapełniała się ludźmi.

Stary Mendel jedną rękę oparł ciężko na ramieniu chłopca, a drugą odsunął kobiety. Oprzytomniał już zupełnie przez tę jedną chwilę.

— Dajta spokój, Janowa! — mówił twardym, brzęczącym jak dzwon głosem. — Dajta spokój! Ja wam dziękuję, bo wy mnie swoją świętość chcieli dać, mnie ratować, ale ja do moje okno krzyż nie chcę stawieć! Ja się nie chcę wstydzic, co ja żyd. Ja się nie chcę bać! Jak uny miłosierdzia w sobie nie mają, jak uny cudzej krzywdy chcą, nu, to uny i na ten krzyż nie będą pytali, ani na ten obraz... Nu, to uny i nie ludzie są. To uny całkiem dzikie bestie są.

A jak my są ludzie, jak uny są chrześcijany, nu, to dla nich taka siwa głowa starego człowieka i takie dziecko niewinne, też jak świętość będzie.

— Pójdź, Kubuś...

I pociągnąwszy za sobą chłopca, mimo hałaśliwych protestów zebranych, do okna podszedł, oba jego skrzydła pchnięciem ręki otworzył i stanął w nim w rozpiętym kaftanie, w skózanym fartuchu, z trzęsącą się brodą białą, z głową wysoko wzniesioną, tuląc do swego boku małego gimnazystę w szkolnej bluzie, którego wielkie oczy otwierały się coraz szerzej, utkwione w wyjący motłoch.

Widok był tak przejmujący, że kobiety szlochać zaczęły.

Spostrzegła stojącego w oknie żyda uliczna zgraja i, omijając pozostałe kramy, rzuciła się ku niemu.

Tę heroiczną³³ odwagę starca, to nieme odwołanie się do uczuć ludzkich tłumu, wzięto za zniewagę, za urągawisko. Tu już nie szukano, czy jest do wytoczenia jaka beczka pełna octu, okowity, jaka paka towarów do rozbicia, jaka pierzyna do rozdarcia, jaki kosz jaj do stłuczenia. Tu wybuchła ta dzika żądza pastwienia się, ten instynkt³⁴ okrucieństwa, który przyczajony w jednostce, jak pożar opanowuje zbiegowisko, ciżbę...

Jeszcze nie dobiegli pod okno, kiedy kamień rzucony spośród tłumu, trafił w głowę chłopca. Malec krzyknął, kobiety rzuciły się ku niemu. Żyd puścił ramię dziecka, nie obejrzał się nawet, ale podniósłszy obie ręce wysoko, ponad wyjący motłoch wzrok utkwiał i szeptał zbiegałymi ustami:

— Adonai! Adonai!... — a wielkie lzy toczyły się po jego zbrudzonej twarzy.

W tej chwili był to prawdziwy „Gaon”, co znaczy: wysoki, wzniosły.

Kiedy pierwsi z tłumu pod okno dopadli, znaleźli tam wszakże niespodziewaną przeszkodę w postaci chudego studenta z facjatki.

Z wzburzoną czupryną, w rozpiętym mundurze, stał on pod oknem żyda, rozkrzyżował ręce, zacisnąwszy pięści i rozstawiwszy nogi jak otwarty cyrkiel. Był tak wysoki,

³³heroiczny — bohaterski.

³⁴instynkt — popęd nieświadomy.

że zasłaniał sobą okno niemal w połowie. Gniew, wstyd, wzgarda, litość, wstrząsały jego odkrytą piersią i płomieniami szły po jego czarnej, ospowatej twarzy...

— Wara mi od tego żyda! — warknął jak brytan na pierwszych, którzy nadbiegli. — A nie, to wal we mnie jeden z drugim gałgany! Psubraty, hultaje!

Trząsł się aż cały i nawet pełnego głosu dobyć nie mógł, tak go gniew dławił. Z małych jego burych oczu iskry sypać się zdawały.

Był w tej chwili piękny jak Apollo...

Kilku trzeźwiejszych z bandy zaczęło się cofać. Postać młodzieńca i jego słowa uderzyły ich swą siłą. Skorzystał z tego długi student, a skoczywszy przez niskie okno do izby, odepchnął żyda, a sam w oknie stanął. Tłum przeciągnął mimo tego okna z głuchą wrzawą. Szyderstwa, pogrożki, wrzaski, złorzeczenia, towarzyszyły pochodowi temu; po czym wrzawa oddalała się, cichła, aż przeszła w huk niewyraźny, daleki.

Tego wieczora nikt się przy sosnowym stole nie uczył, i nikt przy warsztacie nie pracował. Zza pąsowej firanki, z alkowy, dobywał się niekiedy cichy jęk dziecka; zresztą spokój panował tu zupełny. Gdyby nie rozbita szyba w okienku, gdyby nie porzucony na podłodze szynel i tornister uczniowski, nie znać byłoby tej burzy, która tu przeszła rankiem.

W alkowie, za pąsową firanką, leżał mały gimnazista z obwiązaną głową. Zielona lampka paliła się przy nim, chudy student siedział na brzegu łóżka, trzymając rękę malca.

Twarz studenta była już tą samą, co zwykle, dziobatą, brzydką twarzą; w oczach tylko paliły się niedogasłe ognie, z dna duszy ruszone. Siedział milczący, namarszczony, gniewny i od czasu do czasu rzucał niecierpliwe spojrzenie w ciemny kąt alkowy. W kącie tym siedział stary Mendel Gdański, bez ruchu, bez głosu. Skulony, z łokciami wspartymi o kolana, z twarzą ukrytą w rękach, siedział on tak już od południa, od chwili, w której dowiedział się, że chłopcu niebezpieczeństwo nie grozi.

Ta nieruchomość i to milczenie starego introligatora niecierpliwiły studenta.

— Panie Mendel! — burknął wreszcie — wyleźże pan już raz z tego kąta! Bosiny³⁵ pan odprawiasz, czy co u licha? Trochę gorączki i nic więcej. Chłopak za tydzień jaki do szkoły pójdzie, byle się trochę tylko skóra zrosła. A pan tak na marze³⁶ zasiadł, jakby co panu umarło.

Stary żyd milczał.

Po chwili dopiero podniósł głowę i odezwał się głosem namiętnie drgającym:

— Pan się pyta, czy ja na bosiny siedzę? Nu, ja siedzę na bosiny! Ja popiół na głowę mam i wór gruby na głowie mam, i na popiele ja siedzę, i nogi bose mam, i pokutę wielką mam, i wielką boleść mam, i wielką gorzkość...

Zamilkł i twarz znowu w ręce ukrył. Mała zielona lampka dawała jego siwej głowie jakieś szczególne widmowe niemal oświetlenie. Malec jęknął raz i drugi i znów zaległo milczenie.

A wtedy wśród tej ciszy podniósł Mendel Gdański raz jeszcze głowę i rzekł:

— Pan powiada, co u mnie nic nie umarło? Nu, u mnie umarło to, z czym ja się urodził, z czym ja sześćdziesiąt i siedem lat żył, z czym ja umierać myślał... Nu, u mnie umarło serce do tego miasto!

³⁵bosiny — obchodzenie żałoby po zmarłym (u Żydów).

³⁶mara, mary — nosze, na których wynoszą zmarłego.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mendel-gdanski>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Konopnicka, Mendel Gdański, Gebethner i Wolff, Warszawa 1930

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: See-ming Lee 看看 SML@Flickr, CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.